

Związkowcy z LOT kontra prezes z opłatkami w ustach

4 maja 2018

„Zrezygnowali, prawda? Pewnie się wystraszyli, że ludzie przez nich nie polecą na majówkę. Dziwi im się Pan?” – pyta taksówkarz, który wiezie mnie 1 maja o 5:30 na Okęcie. Próbuję wyjaśnić, że strajku pracowników LOT prawdopodobnie nie będzie, bo swoich kolegów i koleżanki zdradziła „Solidarność”. W wigilię Międzynarodowego Dnia Solidarności Ludzi Pracy postanowili wycofać poparcie dla strajku, który miał zmusić zarząd spółki do zaprowadzenia normalności.

– Co to jest normalność? Umowy o pracę? Nie chcą samozatrudnienia? Proszę Pana, ja od 10 lat jeżdżę na swojej działalności – mówi szukając moich oczu w tylnym lusterku.

I to jest ten moment, w którym nie wiem jak zareagować. Przekonywać, że pilot nie powinien pracować jako jednoosobowa firma, bo przemęczony stwarza o wiele większe zagrożenie, niż kierowca taksówki? A przecież on też powinien mieć to, co nazywamy “godnymi warunkami pracy”. Ale już chyba wszyscy pogodzili się z tym, że to niemożliwe. Taksówkarze też, dlatego dziwią się, że ktoś jeszcze walczy. Nie odpowiadam zatem, zresztą dojeżdżamy do biurowca LOT.

Pod budynkiem czeka już około stuosobowy tłum. Błąkam się trochę zagubiony. Wszyscy są w mundurach, ja nie. To nie sprzyja zaufaniu do rozmówcy – dziennikarza.

– Okrutna pora na protest, prawda? – uśmiecham się do jednej ze stewardes.

– Może dla pana. Dla mnie to zwykła godzina pracy – blondynka w nienagannie wyprasowanym uniformie i idealnie związanej czerwonej chuście patrzy na mnie z niewielką dozą rozbawienia i całkiem sporą dezaprobaty. Źle zacząłem.

Coś dziwnego rzuca się oczy – żadnych transparentów, żadnych wnoszonych haseł. Zamiast nich wniesiony został placek. Widać, że to pierwszy protest od bardzo dawna organizowany przez związkową ekipę z LOT.

W mundurowym tłumie wyróżnia się jeszcze jeden facet, rozpromieniony, paradujący w niebieskim szaliczku. Zastanawiam się, czy prezentuje się podobnie niepoważnie jak ja. To Jan Guz, przewodniczący OPZZ. Mówi zdeterminowanemu protestującemu, że przyszedł przekazać „wyrazy szacunku i pozdrowić”. A także „pochwalić za wysoką kulturę”. Mamrocze coś tam o rozpoczętym dialogu „w ten szczególny dzień majowy”. Wyraźnie nie jest przygotowany. Grzecznościowe formułki jak u cioci na imieninach brzmią fałszywie w zderzeniu ze zdeterminowaniem ludzi walczących o życiowo dla nich ważne sprawy. Patrząc na kabotyński uśmiech szefa największego polskiego związku zawodowego i jest mi zwyczajnie wstyd. „Jestem tutaj, bo prawa pracownicze są najważniejsze” – po tych słowach już nie mam ochoty słuchać. Dociera do mnie jedynie „bo zwycięstwo będzie nasze, moje i Twoje”. Nie zagrzewa do walki, raczej uspokaja i tonuje nastroje.

Po chwili dowiaduję się od jednego z pilotów, że Guz od początku był przeciwko ich strajkowi.

Budynek LOT mieści się przy ulicy 17 stycznia na Włochach. 2,5 km od lotniska. Potężny prostokąt robi wrażenie. Siedem kondygnacji. Szkło i metal. Chłodny i wyniosły. Stewardesa mi wyjaśnia, że mówią na niego Alcatraz. Albo akwarium.

– Pełne piranii, co? – próbuję zażartować, ale ona już patrzy w inną stronę.

– O, krokodyl nadchodzi – pracownica pokazuje mi korpulentnego faceta w niewiadomym wieku.

Objawił się oto prezes Rafał Milczarski, bo zaraz ma się rozpocząć msza święta. Spoglądam przerażony na towarzyszy ze skłotu Syrena, jedynych oprócz mnie przedstawicieli lewicowego

środowiska na tym proteście. Mówią, że może jest w tym jakaś metoda. W końcu rządowi będzie trudno wymierzyć działa propagandy w pracowników, którzy strajkują z krzyżem w dłoni.

– Porozmawiam z wami, super, że jesteście, ale po mszy, bo ksiądz już jest – Monika Żelazik to przewodnicząca Związku Zawodowego Personelu Pokładowego i główna bojownicza w tej rozgrywce. Zapewne uznała, że protest wymaga taktycznego sojuszu z Panem Bogiem. Rozpoczyna się nabożeństwo. Warunki nadzwyczaj polowe. Niemiłosiernie tną komary. Część personelu w skupieniu słucha frazesów o jedności i dialogu, część walczy z nudą i komarami. Kiedy trzeba, klękają wszyscy, łącznie z prezesem i jego przybocznym, przewodniczącym zakładowej "Solidarności". Kapłan przypomina, że maj to nie tylko miesiąc Józefa Robotnika, ale również miesiąc maryjny. Po odśpiewaniu pieśni na cześć najświętszej panienki, przychodzi czas na opłatek. Sakrament przyjmuje również prezes Milczarski. Patrzę, jak wchłania ciało Chrystusa i zastanawiam się, czy aby na pewno wyznał wcześniej wszystkie grzechy.

Po chwili wiem już, że z mocnym postanowieniem poprawy z pewnością był na bakier, bo już po chwili, otoczony dziennikarzami głównych mediów, obsmarowuje niemiłosiernie swoich podwładnych. Klasyczne argumenty: kiedy my ratujemy spółkę przed upadkiem, oni niczego nie rozumiejąc wysuwają propozycję, które mogą wpędzić LOT do grobu. No i na dodatek nie przestrzegają prawa.

Dziennikarze w milczeniu wysłuchują monologu prezesa. W końcu nie wytrzymuje stojąca obok mnie Marta z Syreny. Pyta o pilotów zatrudnionych na śmieciówkach.

– To nie jest prawda, że piloci latają na śmieciówkach – odpowiada Milczarski, i z tej wypowiedzi trzeba go będzie z pewnością rozliczyć.

Szybko zadaję swoje pytanie.

– Dlaczego zarząd przyznaje sobie gigantyczne nagrody, 2,5 mln

zł, kiedy nie ma na podwyżki na pracowników i nie ma na spełnienie ich postulatów?

– Proszę państwa, mamy do czynienia z demagogicznymi pytaniami – prezes pojechał Balcerowiczem, po czym spokojnie wyjaśnił, że zarząd nie przyznaje sobie nagród, a jego praca została po prostu nagrodzona przez Radę Nadzorczą spółki skarbu państwa. A więc wszystko w porządku.

Tymczasem w okolicy stawu rozpoczyna się spontaniczny wiec. Występuje stewardesa, które chwilę wcześniej asystowała przy mszy świętej. Tematem są antyzwiązkowe działania zarządu.

– Nie możemy pozwolić na to, żeby nasz głos był tłumiony, a pracownicy od nas oddzielani. Oni chcą odgrywać od nas pojedynczych pracowników i wmawiać im, że tak właśnie się prowadzi negocjacje – indywidualnie. Nie dajcie się na to nabrać! Pamiętajcie, że związki są waszym głosem! – kończy i dostaje owacje.

Po niej jeszcze kilka rozsądnych słów Piotra Szumlewicza, debiutującego z tytułem przewodniczącego Mazowieckiej Rady OPZZ. Z największą sprawnością pośród wszystkich mówców nie pozostawia złudzeń, że pracownicy mają prawo zarówno do stabilnego zatrudnienia, jak i do strajku.

– Sytuacja jest przerażająca. Jest to państwowy przewoźnik, a mamy do czynienia ze wszystkimi patologiami polskiego rynku pracy. Zlikwidowano układ zbiorowy, zniszczono regulamin wynagrodzeń, obniżono pensje pracownikom, przerzucono na śmieciówki połowę pracowników” – wylicza Szumlewicz, a za jego plecami, pojawiła się znajoma korpulentna postać. Drobnymi kroczkami, wyłaniając się zza pilotów. W ślad za nim – przewodniczący „Solidarności” rozdający jakiś propagandowy badziew. Kiedy Szumlewicz przypomina o premiach, postać nerwowo młynkuje palcami. Tłum przeciwnie – wiwatuje. Ten temat budzi poczucie największej niesprawiedliwości.

– Czasami mam wrażenie, że ten facet ma nas za głupków. Albo

jest tak pewny swego, że nie musi nawet udawać – zauważa jeden z pilotów.

Kiedy Milczarski próbował zabrać głos, uczestnicy wiecu zagłuszyli go okrzykiem "Oddaj premię". W końcu wydukał kilka słów o jedności i różnicach pomiędzy zarządem, a pracownikami. "Największa różnica to premie" – główny motyw wściekłości powrócił jak bumerang. W końcu zrezygnowany niechęcią podwładnych i atakującymi komarami, opuścił zgromadzenie.

Piloci i stewardesy długo mieli nadzieję, że to tylko moment kryzysowy w ich życiu zawodowym. Zły prezes zrozumie albo odejdzie i wtedy wróci oczekiwana normalność. Teraz nie mają już żadnych wątpliwości

– Tu trwa wojna – mówi Monika Żelazik.

Przewodnicząca opowiada o inwigilacji skrzynek mailowych, podsłuchach na smartfonach, a także o członkiniach swojego związku, które od pewnego czasu są na celowniku Straży Granicznej. Powracające z dalekich lotów są rygorystycznie kontrolowane pod kątem przemytów. Coś w rodzaju strajku włoskiego pracodawcy. To już trwa od 2016 roku. To upokarzanie, pozbawianie godności. Wreszcie – o zwalnianiu doświadczonych pracowników, członków związku zawodowego i zastępowaniu ich młodymi, świeżo po szkoleniach. Ci nowi o umowach o pracę mogą jedynie pomarzyć.

Obecnie największym przekleństwem i symbolem panowania prezesa Rafała Milczarskiego jest system B2B. Biznes dla biznesu. Jednoosobowa firma – pilot zawiera umowę z firmą Polskie Linie Lotnicze LOT. Wolna umowa, kwintesencja kapitalizmu.

Czego oczekują? Umów o pracę, regulaminu wynagradzania. I jeszcze czegoś bardzo ważnego – szacunku. Nie chcą szefa, który donosi i szpieguje pracowników. Chcą zwierzchnika, który doceni wieloletnią pracę stewardes i nie pozwoli, by piloci obawiali się o pęknięcie błony bębenkowej, kiedy są zmuszeni latać z katarem. Chcą normalności.

Po zakończeniu wiecu przy jeziorku z komarami pozostała grupa pracowników. Ktoś powiedział , że przyjechała policja. Po chwili na miejscu pojawił się sierżant, który obwieścił, że zgromadzenie jest nielegalne. To samo zgromadzenie, w ramach którego odbywała się katolicka msza święta. Nikt nie miał wątpliwości, kto zadzwonił.

Autorstwo: Piotr Nowak

Źródło: Strajk.eu